Nr. 37 Rok 3 Kraków, dnia 13 września 1942. 40 gr.

Ilustrowany Kurjer Polski



SYMBOL
URODZAJU I PRACY

CHARAKTERYSTYCZNY OBRAZEK Z ZAKOŃCZENIA ŻNIW W OKOLICY KRAKOWA

FOT. BOREK

U PROGU CZWARTEGO



BOJOWNIK
Rzeźba wykonana przez niemieckiego artystę Georga Türke z Drezna. Rzeźbiarzowi udało się po mistrzowsku przedstawić plastycznie pojęcie gotowości do walki.

Wkroczyliśmy w czwarty rok drugiej wojny światowej, która obecnie osiągnęła swój punkt kulminacyjny. Czują to wrogowie i przyjaciele i cały świat czuje, że ta wojna, którą z większą słusznością można nazwać, wojną światową aniżeli wojnę z r. 1914—18, jest z rzędu tych historycznych wydarzeń, które zmieniają oblicze świata. Największa potęga militarna świata Unia Sowietów została w bezprzykładny sposób osłabioną, Angielskie Imperium przeżywa tak ciężkie chwile, jakich dotąd nie miało w swej historii, podczas gdy mocarstwa osi mają w ręku nie tylko triumfy większych zwycięstw, lecz nadto zdołały sobie wywalczyć nowe rozstrzygające korzyści, jak tego niedwuznacznie dowodzą nasze obok zamieszczone mapy.



W kole:
ROZKAZ WYKONANY!
Eskadra niemieckich bombowców wraca na swe lotniska wypadowe, po dokonaniu skutecznego nalotu na pozycje sowieckie koło Stalingradu.



W kole na prawo:
EGIPT W NIEBEZPIECZEŃSTWIE!
W Egipcie podjęły znów niemieckie i włoskie oddziały działania wojenne skierowane przeciw pozycjom angielskim. Na zdjęciu generalny feldmarszałek Rommel omawia plan ataku z włoskim szefem sztabu generalnego Gamberą i generałem Calvi.



W kole u dołu:
ZATOPIONO 800 000 BRT.
W walce przeciw anglosaskiej żegludze zaopatrzeniowej, osiągnęły niemieckie łodzie podwodne po raz czwarty w bilansie miesięcznym cyfrę zatopionego tonażu łącznej pojemności 800 tys. ton. Nasza ilustracja przedstawia wyjazd niemieckiej łodzi podwodnej ze swej bazy na Atlantyku.



Fot.: P. B. Z. 7
Scherl 3
Weltbild 2
Atlantic 3



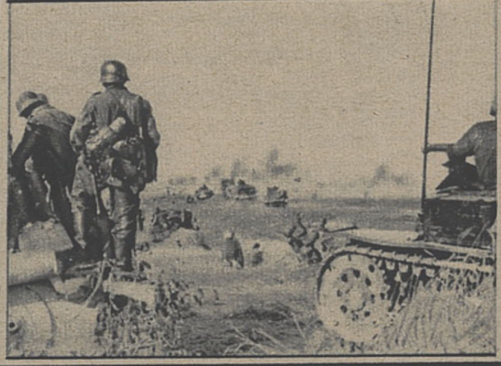




ROKU WOJNY



Norwescy ochotnicy obserwują przed atakiem niszczące działanie ognia artylerii niemieckiej.



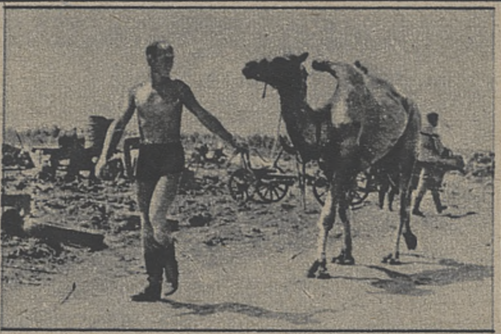
Wojska niemieckie wyruszają do kontrataku w okolicach miasta Orła na środkowym odcinku frontu wschodniego, pod osłoną czołgów.



Ręczne granaty w torbie, a ręka na karabinie. Chwila wytchnienia żołnierzy niemieckich po zaciekłych walkach ulicznych.



Zaledwie ucichł zgiełk bitwy, rozpoczęła żniwa ludność Sowiecka, chętna do odbudowy gospodarki.



Na wschodnim brzegu Donu zaczynają się dzikie stepy, które pod niejednym względem przypominają Daleki Wschód. Żołnierze niemieccy używają tu już wielbłądów jako zwierząt pociągowych.



Wśród rozbitych sowieckich wozów pancernych i czołgów odbywają się żniwa w pełnym toku.



Odwrót odcięty! Wojska sowieckie wychodzą ze swych kryjówek na środkowym odcinku frontu wschodniego i poddają się.



Wydano rozkaz do ataku i wojska niemieckie rozpoczynają szturm na pozycje sowieckie, w terenie nie dającym żadnej osłony.



Niemiecka łódź szturmowa przepłynąwszy Don przybija do sowieckiego brzegu, by podjąć walkę.

PIERWSZE ORYGINALNE ZDJĘCIA ZE ZDOBYCIA CORREGIDORU PRZEZ WOJSKA JAPOŃSKIE

Na lewo:

SKOK NA MOTOCYKLU W PEŁNYM BIEGU Z TRAMPOLINY

Tego rodzaju wyczyny sportowe, bez większego wysiłku wykonuje każdy Bersalier. Warto zobaczyć takiego pędzącego z zawrotną szybkością motocyklistę z pióropuszem.



Na prawo:

LĄDOWANIE NA CORREGIDORZE

W dniu 6 maja wylądowały wojska japońskie całkiem swobodnie na wyspie, gdyż straże przednie wywalczyły im, nocy poprzedniej, dostęp do wybrzeży. Na zdjęciu naszym widzimy jak żołnierze japońscy torują sobie drogę przez zasieki z drutu kolczastego i silnie podminowane wybrzeże.



Poniżej w kole:

ODEGRANIE MARSZA W BIEGU

Oto widok oryginalny, prawie jedyny na świecie. Orkiestra wojskowa gra biegnąc. Musi się mieć nielada płuca, by odegrać utwory muzyczne i poruszać się przy tym w tak szybkim tempie.



Fot.: Atlantic 5

BERSALIERZY - ODDZIAŁ

Wiele armii świata owianych jest znakomitym żołnierskim duchem, ale najsilniej przejęci nim są Bersalierzy, ów wzorowy, włoski oddział wojskowy założony w roku 1836 przez generała sardyńskiego della Marmorę. Przymiotem najbardziej wyróżniającym tę wzorową grupę wojska od innych jest jej niesłychana wielostronność. Tu spotykamy nie tylko znakomicie pod względem militarnym wyszkolonych żołnierzy, lecz także wojsko, którego członkowie wszyscy razem i każdy z osobna są wybitnymi sportowcami, a niektórzy prawdziwymi akrobatami. Nie ma innego rodzaju wojska w Italii tak popularnego jak ci żołnierze z chwiejącym się pióropuszem nad hełmem. Prawdziwą satysfakcję stanowi przyglądanie się tempu ich ruchów. Wprawdzie Włosi są z natury bardzo ruchliwymi, ale u Bersalierów bieg stał się już zwyczajnym sposobem poruszania się. Gdzie tylko Bersalierzy występują odbywa się to zawsze w formie biegu, czy to gdy maszerują na ćwiczenia, czy też gdy dosiadają na rozkaz swych motocykli, czy też gdy zaciągają wartę.

„Trupa di Salto" — „Oddział skoczków". To określenie jest słuszne i uzasadnione cudownymi wprost wyczynami Bersalierów na motocyklach. Na swych maszynach pędzą oni nie tylko w zawrotnym tempie po gładkim torze, lecz także przeskakują śmiało rozpadliny i wyboje na drodze. Obok przepisowych ćwiczeń wojskowych uprawiają oni na szeroką skalę sporty i gimnastykują się codziennie. Każdy Bersalier bierze udział w tych nadobowiązkowych ćwiczeniach pragnąc zdobyć nowy rekord. Dla nich słowo „Satlo" oznacza taki artystyczny wyczyn, przy którym skoczek robi obrót około swej poziomej osi. Podwójne salto jest marzeniem przeważnej ilości żołnierzy, a wielu opanowuje je w sposób mistrzowski. I jeszcze jedno. Włosi, którzy wyjątkowo rozmiłowani są w muzyce, cenią wysoko orkiestrę Bersalierów. Jeżeli Bersalierzy gdzieś grają, biegnie wtedy kto żyw, i to nie tylko aby posłuchać ich muzyki, ale i dlatego, by także przyjrzeć się niezwykłemu widowisku, jakim jest orkiestra grająca w biegu.





Obok:

AKROBATYCZNY POPIS

Oto jeszcze jeden ciekawy moment prawie akrobatycznej ewolucji wykonanej przez Bersaliera na motocyklu. Stojący obok dowódcy i przełożeni z dumą przyglądają się zawiłym popisom swoich podwładnych.

JESZCZE RAZ CORREGIDOR







Na lewo:
WIDOK CORREGIDORU BEZPOŚREDNIO PO ZDOBYCIU
Na pierwszym planie widzimy teren zniszczony przez lotników japońskich. W głębi widoczne wejścia do podziemnych umocnień twierdzy wykutych w skale.

Powyżej:
Z MIOTACZEM PŁOMIENI NA BUNKIER AMERYKAŃSKI
Podczas gdy miotacz płomieni wkracza na widownię walki, wtedy pionierzy oczekują w ukryciu na odpowiedni moment, by zlikwidować ostatecznie opór bunkru przy pomocy ładunków wybuchowych. W 32 godziny od chwili rozpoczęcia ostatniego ataku poddała się potężna twierdza Corregidor.

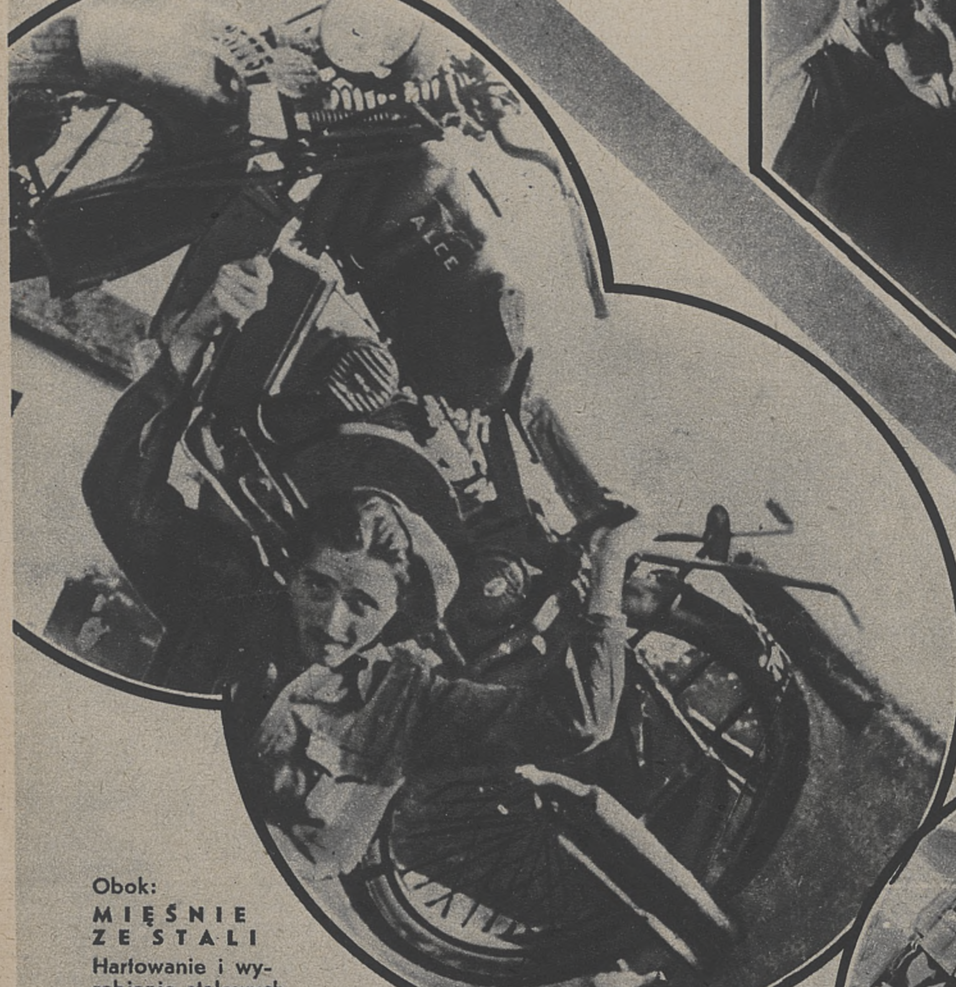
Fot.: Japan Photo Library S



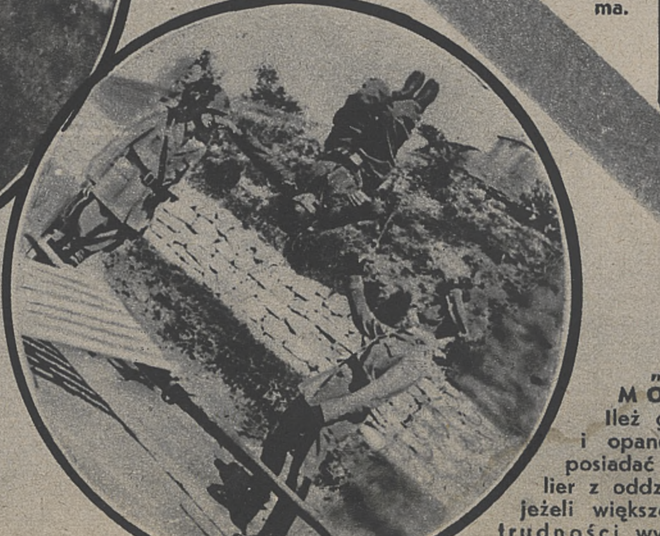
Powyżej:
PERTRAKTACJE W SPRAWIE KAPITULACJI WYSPY
Po ucieczce głównodowodzącego na Filipinach, amerykańskiego generała Mac Arthura, generał J. Wainright (2-gi na lewo) omawia warunki poddania się twierdzy z jap. gen.-por. Masahara Homma.



ZAKOŃCZENIE WALK O TWIERDZĘ
Na rozkaz generała Wainrighta wychodzą wojska amerykańskie z podziemnych kondygnacji twierdzy i poddają się Japończykom.



Obok:
MIĘŚNIE ZE STALI
Hartowanie i wyrobienie stalowych mięśni jest naczelnym hasłem Bersalierów. Z iście atletyczną zwinnością i lekkością podnoszą oni ciężkie motocykle.



W kole:
„SALTO MORTALE"
Ileż gibkości, siły i opanowania musi posiadać każdy Bersalier z oddziału skoczków!, jeżeli większość z nich bez trudności wykonuje poprawnie podwójne salto.

SKOCZKÓW

NOWOŚCI



Bardzo ładną całość sportową tworzy bluzka, z popielatej wełny, ozdobiona szerokimi aplikacjami o zupełnie prostym kroju z szeroką spódniczką w fałdy rozprasowane. Jak widzimy model ten jest bardzo wygodny, a przy tym zgrabny i estetyczny.



W kole:
Kostium sportowy. Żakiet z żółtej wełny bez kołnierza. Oryginalne kwadratowe guziki zwracają naszą uwagę.



Powyżej:
Skromna lecz bardzo twarzowa sukienka wełniana o wzorze diagonalnym w brązowe i beige paski. Nowość stanowi pasek skórzany na szeleczce również skórzanej zarzuconej przez ramię.

Z początkiem sezonu jesiennego największe zainteresowanie świata kobiecego skupia się na pokazie kostiumów i sukien wełnianych. Dobrze jest, jeżeli w portfelu pięknej pani znajduje się odpowiednia kwota na nabycie jakiegoś pięknego kostiumu lub sukni.

Niejedna kobieta jest bardzo zadowoloną mogąc w tych ciężkich wojennych czasach przerobić modnie jakiś stary kostium czy sukienkę, a jeżeli nawet na to środków nie ma, to i tak przyjemnie jest wiedzieć o czym ma się marzyć. Dlatego też zaprezentowaliśmy naszym czytelniczkom tę serię kostiumów i sukien jesiennych.



Elegancki kostium jesienny w pasy. Trzeba przyznać, że pasy w tym jesiennym sezonie cieszą się dużym powodzeniem. Bardzo dekoracyjnie dobrane aplikacje, przypominające jakiś deseń geomeryczny podnoszą elegancję kostiumu.

Poniżej:
Sportowy kostium na piękne dnie jesienne z bardzo oryginalnymi kieszeniami i spodniczką w kraty z lekko falującymi fałdami. Duże, szerokie kieszenie tak przy kostiumach jak i sukienkach sportowych będą w bieżącym sezonie jesiennym bardzo modne. Wielkim przebojem sezonu jesiennego będą również kraty duże i zdecydowane w rysunku.



Poniżej:
Efektowny komplet sportowy. Żakiecik z jerseya w białe i popielate pasy. Spodniczka gładka, ciemno-popielata. I na tym modelu widzimy szerokie kieszenie przy żakiecie. Przez odpowiednie przykrojenie materiału uzyskujemy jedynie ogromnie efektowną ozdobę żakietu.



DLA PAŃ

Fot.: Atlantic 6

JAPOŃCZYK I AMERYKANKA

NOWELA — NAPISAŁA H. ZAKRZEWSKA

W uroczystą przeszło stuletnią rocznicę wzięcia Bastylii, w dniu 14-go lipca, na lwarach przedwojennego Paryża rojno ło i gwarno.

Rozochocone tłumy, świątecznie odziane, uły się zwartą ciżbą pod murami kamie-:. Dzieciaki wyrywały się naprzód. To elkie narodowe święto wypatrywane było zez nich z utęsknieniem. Rozstawione po acach stolicy młyny diabelskie, strzelnice, dy z fenomenami natury i karuzele — fruwającymi na łańcuchach aeroplanami — iecywały wiele rozkoszy.

Liczne rodziny urzędników, sklepikarzy, ndlarzy, rzemieślników i robotników snuły bezcelowo w tę i w tamtą stronę. Ot ykłe przewalanie się gapiów. Głowa przy owie, ramię przy ramieniu. Rozpychanie łokciami. Głośne uwagi. Zaczepki. Nawowania. Śmiechy. Dużo śmiechu.

Na skrzyżowaniach główniejszych ulic tawiono orkiestry wojskowe. Same dęte strumenty. Huczą trąby, puzony, saksony najnowsze taneczne melodie, a na troarach i jezdni splecione uściskiem pary rują w takt muzyki.

Kalejdoskop przeróżnych typów. Otyła eczarka z naprzeciwka — pięćdziesięcioni babsztyl z ufarbowaną głową i w dum płóciennym fartuchu — wytańcowuje chaloupée"[1]) ze swym gołowąsym subiekm, zaś łysy poczmajster, w niebieskich ularach na czerwonym nosie, czepił się ternastoletniej kwieciarki z rogu ulicy.

Roześmiane midinetki przechodzą z ramion ramiona. Zmysłowo kolebią się w biodach, przebierając szybko zgrabnymi nóżmi obciągniętymi w jedwabne pończochy.

Uliczne dziewczyny, wymalowane i bezelne, podrygują na miejscu i przenikliym wzrokiem szukają w tłumie ofiary. Paki. Krwiożercze pająki czyhające na doze wypchane pugilaresy naiwnych cudzoemców.

Opodal apasze i sutenerzy, z papierosami zębach i w czapkach cyklistowskich naniętych głęboko na oczy, nie spuszczają nich wzroku.

Cała paryska cyganeria była dziś również ulicy.

— Przetańcz no ze mną, piękny blondye — pchała się jakaś girls'a w ramiona larza Bończy.

wybuch śmiechu. Orgia wesołości, bezremonialności i podrygiwań.

— Hu-ha — hukał po swojemu Rubczak, ral z Zakopanego, rzeźbiarz wszechświawej sławy i zawołany tancerz. Był dzisiaj świetnym humorze, więc proszony przez ą tancerkę — złotowłosą Szwedkę — powiedzenie kilku słów po polsku palnął z chwili namysłu:

— Ta ramka tu, a tamta ramka tam...

— Ależ to chyba po chińsku — dziwiła Szwedka.

— Przysięgam, że po polsku...

Napuszony poeta Macdonald, Szkot w nadowym stroju, wzbudzał sensację i zgorenie swą krótką kraciastą spódniczką i gomi udami.

— Oh! Le cochon de sans-culotte[2]) — zeszczeli łobuzy i wytykając go palcami egli za nim tłumnie.

Miss Nelly Tompson z San Francisko — larka futurystka o pewnym rozgłosie — ła dziś również na ulicy. Rozweselona ała żywy udział w ludowych zabawach. irowała na karuzelach, strzelała do manenów po strzelnicach, błąkała się po labintach, a także, nie przebierając w tanceach, hasała zapamiętale na rogach ulic.

Wybrała się na bulwary w gronie kolew i koleżanek z akademii malarskiej „de grande chaumière"[3]). Typowa banda rozochranych adeptek i adeptów sztuki zwrała na siebie powszechną uwagę swymi filmi z dużymi rondami i pelerynami zamayście zarzuconymi na jedno ramię.

Panna Tompson rej wodziła w tej klice. oda Amerykanka znana już była z ekstryczności w całym quartier latin[4]). Na ór słynnej Marii Baszkircew zawsze biało rana — la dame blanche[5]) — boso spacewała po ulicach Paryża.

A stopy miała prześliczne. Klasyczne sto Diany. Rzeźbiarze z Montparnassu chętnie odlewali je w gipsie. Służyły za model.

Poza tym pannie Nelly poszczęściło się w tym roku. Z wiosną wystawiła u „Niezależnych" duży obraz, który zwrócił na siebie powszechną uwagę. Wprawdzie zawdzięczała ten rozgłos nie tyle artystyczności swej kompozycji, ile szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Obraz jej — przez pomyłkę — (Trudno. Takie rzeczy zdarzają się nawet w Paryżu.) powieszony został do góry nogami.

Nic na tym nie stracił. Przeciwnie. Stał się jeszcze bardziej niezrozumiały, chaotyczny, sfinksowaty.

Publiczność tłumnie zaczęła się zbijać pod tym obrazem, próbując odgadnąć co przedstawia, zaś znawcy sztuki kiwali znacząco głowami.

— Ciekawe. Nie banalne. Godne uwagi — szeptali.

No i dodatnie krytyki sypnęły się po dziennikach, a obraz sprzedany został za grube pieniądze królowi szczotek do zamiatania z Chicago.

— Dobra nasza — zacierała ręce Miss Nelly.

I z dobrze wyładowaną kieszenią, a opromieniona aureolą sławy nie posiadała się z radości.

Zziajana i zgrzana — dzień był prawdziwie lipcowy — wydostała się w końcu z ramion rzeźnika Fourrier'a i przystanęła przy swym gorącym adoratorze — czarnookim Portugalczyku — Alfonso del Rosa.

— Patrzaj no na tę głowę! Cóż za ciekawy model — trąciła go łokciem, wskazując dłonią na grupę studentów Sorbony, pośród których wyróżniał się egzotycznością wyglądu młody książę Yutayu Japończyk.

I zawsze nieobliczalna i impulsywna wykrzyknęła:

— Ach! Jaką ja mam ochotę przetańczyć z nim tego walca. Ta rasa żółta ma dla mnie niesłychany urok. Przepadam za tymi tajemniczymi skośnymi oczami.

— Dajżeż mu spokój — Alfonso był piekielnie zazdrosny. — Co ci się może podobać w tej żółtej rasie? Zapewne ten student wcale tańczyć nie umie...

— To się zobaczy...

I z wyciągniętymi, jakby do uścisku, ramionami podeszła do młodego Japończyka.

Uśmiechnął się enigmatycznie, skłonił głowę na znak zgody i milcząc objął ją stalowym ramieniem.

Ruszyli w wir taneczny, a tańczył jak młody bóg.

— Encore, encore[6]) — szeptał jej na ucho świetnym paryskim akcentem. — Ja jak kogoś przychwycę, to trzymam...

Ale miss Nelly nie miała żadnego zamiaru wyrywać się z jego objęcia. Obezwładniały ją te silne muskularne męskie ramiona. Jakiś niepojęty fluid szedł od tego niezwykłego tancerza i przenikał ją do głębi.

Spleceni coraz ciaśniejszym uściskiem wirowali bez tchu i bez pamięci.

I stała się rzecz dziwna.

Ta niestrudzona Amerykanka zemdlała w ramionach egzotycznego przybysza.

*

— Więc jakież są twoje zamiary — robił jej sceny zazdrości czarnooki Alfonso. — Zachowujesz się od jakiegoś czasu w sposób nieprzyzwoity. Uganiasz za tym Japończykiem, który najwyraźniej od ciebie stroni. Wczoraj uciekł z kawiarni jak tylko tam weszłaś...

— Ach dajżeż mi spokój — wzruszała ramionami miss Nelly. — Tak robię jak mi się podoba, a jeżeli moje postępowanie jest denerwujące, to sobie idź. Nie zatrzymuję cię...

Zerwała z Portugalczykiem, a zerwała niewiadomo dlaczego. Ot dzika fantazja, gdyż zapytywana przez przyjaciółki czy kocha się w Japończyku odpowiadała z pewną irytacją.

— Nie bądźcie głupie. Przecież ja go na serio nie biorę. Ot chciałabym pobawić się nim tak jak wy się bawicie, ulubionym pieskim lub kotkiem...

Lekceważące powiedzenie.

A gdy koledzy powtórzyli księciu Yutayu te słowa, niczym nie dał poznać po sobie czy jest nimi dotknięty.

*

Spotkali się w oko w oko w galeriach Luwru.

Miss Tompson, nie panując nad sobą, czepiła się konwulsyjnie ramienia młodego studenta.

— Zapomnieć pana nie mogę — szlochała, tuląc się do niego.

A była szczera.

Uśmiechnął się enigmatycznie. Odsunął ją od siebie i rzekł:

— Pani kpi sobie ze mnie. I po co te komedie. Przecież każdemu wiadomo, że pani na serio brać mnie nie może...

Spoważniał nagle i dodał:

— Ale my Japończycy lepsi od was jesteśmy. My nigdy nikim się nie bawimy jak pieskiem lub kotkiem, więc będę z nią szczery. Mam narzeczoną w Japonii, którą kocham nad życie, więc proszę o mnie zapomnieć, gdyż odwzajemnić się uczuciem nie mogę... a bawić się ludzkim sercem uważam za niehonorowe, chociaż, jak pani sama przyzna, tak łatwo mi było pobawić się panią...

*

W kilka lat potem — gdy jako lotnik fruwał nad San Francisco — przypomniał sobie nagle ten epizod z czasów studenckich i — niewiadomo dlaczego — zawahał się z ciśnięciem bomby na to miasto.

---

[1]) Taniec marynarzy francuskich. [2]) Och, świnia sankiuloty. [3]) „Wielkiej chaty". [4]) Dzielnica łacińska. [6]) Biała dama. [5]) Jeszcze, jeszcze.

Matczyna miłość

...Ma oczy szaroniebieskie i rzęsy długie ogromnie, usteczka bardzo maleńkie, najmilsze i uśmiechnięte — teraz rozumiem, że można o całym świecie zapomnieć, a tylko patrzeć i patrzeć by całe życie pamiętać.

Biorę ją często na ręce i noszę lekko, ostrożnie, nucę najcichsze piosenki — aż uśnie przy nich jak ptaszek, i tylko czasem powieki zatrzepią się nagle i trwożnie — jakby ją w śnie najpiękniejszym, czarodziej brzydki nastraszył.

A gdy przypadkiem coś zbroi — patrzy się na mnie tak mile, że się uśmiecham, przebaczam i znów jest wszystko jak było — ona szczebiocze coś do mnie, a ja jej śpiewam co chwilę, lub opowiadam jej bajki o snach, co dawno się śniły.

Kocham! Jak dobrze jest kochać i poczuć w sobie na nowo uśmiech najszczerszy i radość, która pozwala odmłodnieć, i widzieć wszystko błękitnie, malować świat pastelowo (pod odcień buzi mej córki, co ma już osiem tygodni!).

Bronisław Król.

ŚLUBNA OBRĄCZKA

Stuknęły głuchym odgłosem trzewiki Maurycego Zwitka, gdy wtaczał się do małej izdebki.

— Maruś! znowu tak wracasz — jęknęła kobieta ledwie widoczna z kłębów pary, schylona nad balią pełną bielizny i zmęczona z nadmiaru pracy.

— Pod Bogiem, pieniędzy dla „ważności chwili".

Dobrze wiedziała, tknięta przeczuciem troskliwej żony, gdzie ta „ważność chwili" miała swoistą nutę zakończenia — przy stoliku restauracyjnym z plamami rozlanego piwa; w towarzystwie wysmukłych butelek; tam były wykańczane dla „próby" liczne kolejki dobieranych napojów.

Zwykły początek... imieniny... trudno odmówić... nalegania.

— Nie dasz?

Krótka pauza rozpostarta zdradliwie w powietrzu.

Skłoniła w milczeniu głowę, dając odpowiedź w cichym płaczu.

Cisnął stołek z rozmachem i szedł straszliwy w gniewie — do bicia.

Przesycone alkoholem nogi splątywały podstępnie, zatoczył ogromne koła kilkakrotnie i legł gwałtownie na posłaniu.

Głośne chrapanie uderzyło w sufit izdebki z zapowiedzią rozpoczętego snu.

Przyćmiona lampka naftowa migotliwie niepewnym światłem krasiła ulokowane w kątach ciemności.

— — — — — — — — — — —

Z wysuniętej szuflady komody, Zwitek dobywa malutkie pudełko, odrzuca krążki cienkiej bibułki, ręce trzęsą z pośpiechu; patrzy chciwie na błyskotliwą ślubną obrączkę. Własną nie ma co mówić — zgubił, rozczulać się nad każdym przedmiotem... zbyteczne. Sprzedać... spieniężyć dla „ważności chwili" spieszą tajemne podszepty.

Już ma umieścić obrączkę w przepastnej kieszeni.

Nagle!

— Tatku, chleba!

Słabiutki dziecinny głosik z kąta niweczy wszystko, przenikliwy, wskazuje drogę największej ofiarności.

Zwitek czuje, że jest niespodziewanie zgięty ku ziemi — żal przeogromny minionych błędów — szloch rozpostarty w piersiach.

Zachwiał się raz i drugi i runął z wielkim płaczem.

— — — — — — — — — — —

W piekarni ruch zwiększony.

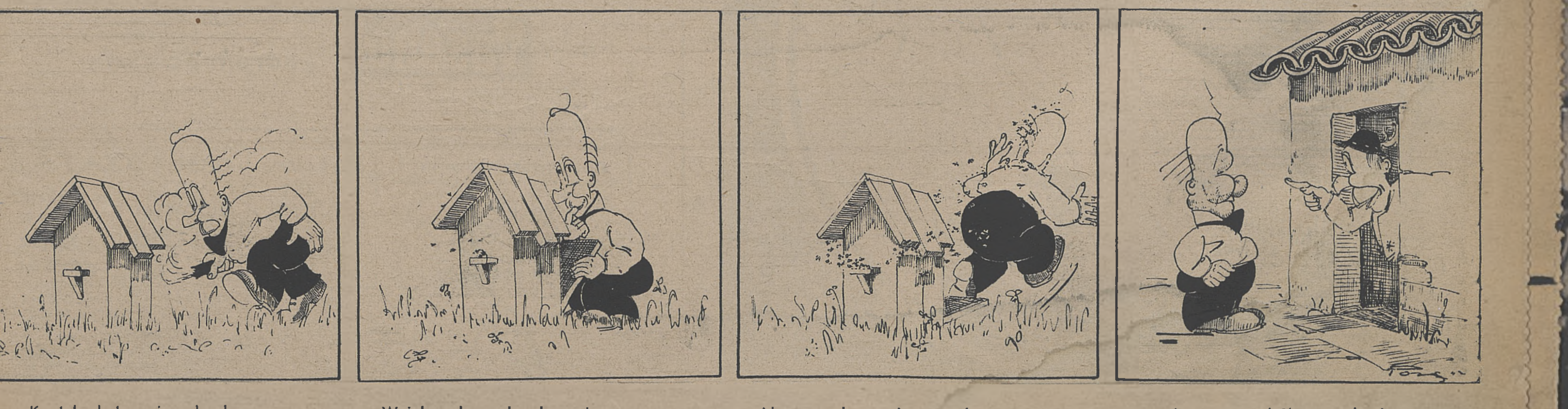
Z otwartych właśnie drzwi poważnie wychodzi Maurycy Zwitek i niesie bochenek „razowego"; rozsiewa dokoła miły zapach pieczonego chleba.

— Skórkę zwierzchnią mały zje z wyjątkowym smakiem, dziś już nie uśnie głodny — tu westchnął i łzy niby wspaniałe brylanty zaszkliły w oczach. Zebrał starannie rękawem, obejrzał czy nie widzą ciekawi przechodnie i ruszył między zwartymi blokami wysokich kamienic, w głąb ciemnych wąskich uliczek... do domu.

„Jawor"

UKARANE ŁAKOMSTWO

Rys. i tekst: Pawł



Knotek chytrze się zakrada,
Jak nikczemny lis-bandyta
Aż pod gruszę do sąsiada
Gdzie pasieka była skryta.

Wyjął z ula ramkę skromnie,
— Do ust miodek słodki kapał,
Więc połykał go łakomie,
Dzierżąc plaster w brudnych łapach.

Ale pszczoły w mig poznały,
Że jest złodziej przed ulami,
Więc obsiadły go ze wszech stron,
I poczęły kłuć żądłami.

Opuchnięty — z bólem w głowie —
Knotek wielce się zasmucił,
Że Motek go nie rozpoznał...
I jak psa — za drzwi wyrzucił...

„DROGA DO POWSZECHNEGO IDEAŁU PRACY"

Dr. Feliks Burdecki w ostatnio wydanym przez Polskie Wydawnictwo dziełku pod powyższym tytułem, dał świetnie skonstruowany szkic rozwoju pojęć dotyczących problemów pracy. W sposób jasny, przejrzysty a sugestywny obrazuje nam autor poglądy na pracę, — począwszy od czasów starożytnych, nanizując najpierw na wstęgę swych roztrząsań pojęcia moralizatorów, filozofów oraz twórców systemów religijnych, roztrząsa zapatrywania ekonomistów i polityków, by w końcu przejść do laboratoriów uczonych techników i chemików, gdzie na owe zagadnienia — otrzymujemy nader frapujące i ciekawe odpowiedzi.

W rozdziałach dalszych przedstawia w sposób bardzo wymowny, dążący w tym kierunku świat pojęć i badań fizyko-technicznych, rozstrzygając nader trudny problem „Energetyki Dziejowej" w jędrnych i mocnych słowach:

„Energetyka dziejowa ujmuje historię ludzkości jako dzieje powolnego budzenia się wśród jednostek i narodów „energetycznego uświadomienia". Wreszcie rozdziałem końcowym pt. „Ideał pracy", w którym dominującym zadaniem jest, że „ideałem pracy nazywać będziemy taki stan życia pracującego ludu, jaki pozwala osiągnąć optimum współczynnika ekonomicznego wszelkich użytecznych transformacji energetycznych przy równoczesnym zachowaniu optimum samopoczucia warstw pracujących" — zamyka swoje niesłychanie oryginalnie pomyślane dzieło.

Autor w pracę swą włożył niemało prawdziwie rzetelnego trudu i starania, stawiając ją pod względem treści i formy na istotnych wyżynach. To też jesteśmy przekonani, że dziełko dr. Burdeckiego — podobnie jak i poprzednie, wydane jeszcze przed wojną — znajdzie wśród szerokich warstw czytelników dogłębny oddźwięk do czego przyczyni się również jego niska cena zł. 6.—.

J. E.

BAJECZKA

Mama wyszła. Tato siedzi w swym pokoju i pracuje. Jasio, 5-letni synek wchodzi w koszulce nocnej do pokoju ojca:

— Tatusiu — nie mogę spać...

— Nie możesz spać? To licz do tysiąca...

— Jeden... dwa... trzy... cztery...

— Nie głośno. Licz sobie w myśli.

— Jakto w myśli, tato?

— Licz pocichu.

— To wtedy nie usłyszysz.

— Ja nie chcę słyszeć.

— No, to po co mam liczyć?

— Żebyś usnął.

— Gdy usnę, to nie będę mógł liczyć do tysiąca.

— Nie musisz, przecież, mój chłopcze.

— Opowiedz mi bajeczkę, to wtedy zasnę.

— Bajeczkę?... No to słuchaj. Był raz biedny, stary węglarz.

— Kto to jest węglarz, tato?

— Jest to człowiek, który wypala węgle z drzewa.

— Dlaczego on nie gotuje na gazie, papo?

— Węglarz wypala węgle z drzewa, by je potem sprzedawać.

— To jest taki oszust.

— Dlaczego oszust?

— No, przecież węgli, które sam spalił nie może jeszcze raz sprzedawać.

— Nie rozumiesz tego Jasiu. Węglarz ten żył wśród ciemnego lasu i miał syna, któremu było na imię Cyprian.

— Ach, on był pewnie aktorem filmowym, skoro miał takie dziwaczne imię.

— To nie ma nic wspólnego z filmem, wówczas wszyscy ludzie dawali takie imiona swym dzieciom. Mieli oni dużo zmysłu do poezji... A więc biedny węglarz żył ze swym synem w ciemnym lesie, wypalał swe węgle drzewne i całymi tygodniami nie widział ludzi.

— Bo też las nie jest odpowiednim terenem do interesów. Czyż nie mógł węglarz założyć swego interesu w dużym mieście na jednej z głównych ulic? Na Karmelickiej np.?

— Karmelicka ulica była wtedy jeszcze puszczą, w której dzikie zwierzęta...

— Ależ musiało być wtedy interesująco. Pewno policjanci mieli dużo kłopotu ze strzelaniem tych zwierząt, prawda?

— Nie przerywaj mi wciąż Jasiu. A więc pewnego dnia przyszła Cyprianowi ochota do podróżowania. Wybrał się więc w drogę i szedł wciąż prosto przed siebie, gdzie go oczy niosły, oczywiście jak natrafił na drzewo to go wyminął... Nagle Cyprian stanął jak wryty. Usłyszał przeraźliwy krzyk, który go bardzo przestraszył.

— Już wiem, syrenę od auta...

— Nie, to krzyczała prześliczna dziewczynka. Ona tak krzyczała ze strachu, gdyż straszny olbrzym trzymał ją za włosy. Cyprian stał chwilę cicho i zastanawiał się, co począć.

— Czy nie mógł podejść do telefonu i zameldować na policję o napadzie?

— Ależ co mówisz, wtedy nie znano jeszcze telefonu. A poza tym nie miałby na to czasu. Olbrzym bowiem wyjął długi miecz i groził dziewczynie, że jej utnie głowę. Wtedy przypomniał sobie Cyprian, że ma procę w kieszeni...

— Widzisz, tato, jaka ona może być pożyteczna. A tyś mi moją zabrał i schował.

— Gdyż rozbiłeś nią kilka okien. I lustro od toalety, i kryształową wazę od serwisu uszkodziłeś, i...

— A czy piękny był olbrzym, papo?

— Siedźże już raz cicho. A więc olbrzym trafiony kamyczkiem z procy upadł, wtedy...

— Tato, a może szlak go trafił ze złości?

— Bardzo możliwe. Leżał więc nieprzytomny, i...

— Albo może kamień ten trafił go w skroń.

— Nie, trafił go w rękę.

— A może go trafił w oko?

— Jasiu, gdy będziesz mi wciąż przerywał głupiemi uwagami, to nie będę mógł ci tej bajeczki opowiedzieć. Gdy więc olbrzym leżał bez przytomności na ziemi i Cyprian podszedł do niego, wtedy dziewczyna przyjęła go gorzkimi słowy: „Nieszczęsny, cóżeś uczynił? Jestem królową elfów...

— Huaaaaah!!! Tato!

— Co chcesz?

— Chce mi się spać.

— Spać? Dobrze. Idź do łóżka. Dobranoc.

Chłopiec znika z pokoju. Ojciec odetchnął. — Chwała Bogu, że sobie poszedł. Jeszcze chwila, a można było zwariować.

Ojciec zabiera się do swej roboty. Po chwili drzwi się otwierają. Jasio wsuwa głowę.

— Tato!

— Czegoż znów chcesz? Czemu nie śpisz?

— Ja myślę, że to jest rzeczą niemożliwą, żeby królowa elfów gniewała się za oswobodzenie z rąk olbrzyma.

Jasio znika szybko za drzwiami. A książka, którą ojciec rzucił za nim trafia w zamknięte drzwi.

ŚMIERĆ OLIWERA WIGGINA

Otwartym oknem wlewała się do wnętrza izby ostra i oszałamiająca woń szałwisk z dalekiego stepu, niosąca przeczucia nadchodzącej jesieni.

Słońce żarzyło się jeszcze u progu horyzontu, czerwieniło kępy karłowatych sosen i wysokich topoli, trawiaste kobierce pastwisk, rozciągających się poza ranczą i zdawało się, że palą się drewniane zabudowania, stajnie, i opleciony korral, jasną łuną.

Na chwilę przed zachodem otworzył Oliver Wiggin zmęczone oczy i poprzez uchylone powieki objął spojrzeniem płonącą dal stepu za otwartym oknem, potem świetlaną grę promieni na ścianach izby i przez moment zabłysła w jego oczach dziwna tęsknota. Może za odchodzącym życiem... Potem odwrócił głowę i ukrył twarz w poduszce.

— — — — — — — — — —

Doktór Hugney pochylił się nad łóżkiem rannego i ujął jego chłodną dłoń.

— To już koniec! — pomyślał sobie, ale w jego spokojnej twarzy nie można było nic wyczytać. Puścił rękę rannego, i z półuśmiechem szepnął:

— Będzie żył...!

W głosie doktora drgał jednak jakiś dziwny ton i Oliver był w tej chwili jeszcze na tyle przytomny, że wyczuł niepewność w tonie swego starego przyjaciela. Nie mógł jednak żadnym ruchem dać poznać, że zrozumiał swój bliski koniec...

Czuł się niezmiernie słaby. Powieki stawały się coraz bardziej ociężałe, i nie mógł już otworzyc oczu, choć jeszcze raz pragnął rzucić wzrokiem na purpurowy zachód, na rozległy step, jeszcze raz ujrzeć przemiłą twarzyczkę Molly Swinton... Opanowała go zupełna niemoc. Zakłuło go w płucach i chwilę później zdało mu się, że leci w bezdenną przepaść.

W słabnące serce wwiercał się dziwny lęk przed Nieznanym, odżywały w nim wszystkie wspomnienia szarych dni, których tak wiele było w jego życiu.

Dalekie wędrówki po złoto w kanionach Colorado, walki z Indianami, miłość...

Potem zawirowały mu przed oczyma czerwone płatki i zapadł w nicość. Resztką świadomości błysnęła mu jeszcze myśl: u m i e r a m . . . !

— — — — — — — — — —

Ile godzin, czy dni minęło — nie zdawał sobie zupełnie sprawy. Może tylko kilka minut. Nie wiedział też z początku, gdzie się znajduje, ale było mu nadzwyczaj niewygodnie, twardo.

Leżał na wznak, ręce miał złożone na piersiach i nie mógł się ani obrócić ani poruszyć...

— Aha, — pewno jestem w trumnie — przyszło mu na myśl i poczuł się nieswojo. Nic mógł jednak poradzić nic na to i dziwił się tylko, dlaczego odczuwa gorąco, jakby ściany tej sosnowej, świeżej skrzyni były rozpalone do czerwoności — i dlaczego potrafi jeszcze myśleć. Może dusza jego nie opuściła jeszcze ciała, skoro go tak nieznośnie bolą kości...

Poprzez rozgrzane ścianki trumny, w której leżał, dochodziły z zewnątrz uderzenia kopyt końskich o kamienie, czyjeś znajome głosy, i przeraźliwe skrzypienie kół.

Wieziono go pewno do Bear Creek, by tam pochować uroczyście na miejskim cmentarzu. Nie było to zresztą daleko, — jakiś dzień drogi, i wreszcie Oliver miał ochotę kląć: — Psiakrew! Ładna historia, nie mogli mię na miejscu od razu pochować...

Koła podskakiwały po kamienistych wybojach, rzadko uczęszczanej drogi stepowej i za każdym takim podrzutem pochylała się trumna w jedną, to znów w drugą stronę. W ciągu kilku godzin stłuczone ciało Olivera ogarnął przenikliwy ból. Wewnątrz trumny było duszno — i koło południa zapragnął Oliver, a raczej jego dusza — pilnująca dotąd wytrwale swej ziemskiej powłoki — wydostać się na zewnątrz...

Na szczęście w jakimś silniejszym podrzucie uchyliło się nieco, słabo przybite wieko i przez wąską szparę ujrzał Oliver rozpalony błękit...

— No tym, co ze mną jadą, musi być ciepło! Na drugi raz nie będzie chciało się im mnie odwozić — myślał trochę nielogicznie.

Teraz dopiero poznał Oliver, Leana i Toma Burleya. Żaden z nich nie dostrzegł jednak rozchylonego wieka i na bladą twarz Olivera spływały gorące promienie słońca.

Lean jechał niedaleko wózka, czasem rzucił tylko kilka zdań w stronę Toma, ale rozmowa wnet się urywała, i choć Oliver miał szczerą ochotę podsłuchać, co mówią na jego temat, nie mógł się jednak nic z tego dowiedzieć. Silniejsze jakieś przekleństwo powstrzymało go całkiem od zamiaru podsłuchiwania. Dusza jego miała pozostać przecież czystą i dobrą...

Step był zielony, jak z wiosną i patrząc na wierzbinowe kępy, na małe sosnowe laski, poczuł Oliver znowu tęsknotę za życiem...

A tymczasem Lean i Tom Burley bynajmniej nie podzielali zachwytów Olivera, oglądali się na słońce i przyspieszali jazdę. Pot spływał im po policzkach, żar wstrzymywał oddechy i mieli jedno tylko pragnienie, by jak najprędzej dojechać do celu...

Pomimo tego dopiero pod wieczór dojechali do Bear Creek, małego miasteczka rozłożonego nad niewielkim strumieniem. Miasteczko to składało się z kilkudziesięciu drewnianych domków, ze stajniami, szopami, a największym budynkiem w całym Bear Creek była jednopiętrowa gospoda „Pod Zdechłym Grzechotnikiem" — gdzie mieściły się pokoje dla przyjezdnych i urząd szeryfa.

Domy były już pozamykane, a tylko gdzie niegdzie jeszcze błyskały światełka okien, jak lśniące ślepia stepowego kujota. Pustka i niezmącona cisza snuły się po wąskich uliczkach miasta, jedynie tylko gospoda „Pod Zdechłym Grzechotnikiem" szumiała jeszcze gwarem. Przez jej otwarte drzwi i okna spływała ku uliczkom, miękka melodia rozkołysanego tanga...

— Hallo, a cóż wy tam wieziecie, — odezwał się jakiś zachrypnięty głos od progu gospody, kiedy Lean zatrzymał wózek.

— Ach, to wy stary Johny!? Ano widzicie, przyszła i kolej na Wiggina... Przywieźliśmy go do miasta, by jakoś pochować po Bożemu. Tylko pomóżcie nam, bo diablo ciężka ta trumna...!

We troje podźwignęli szare sosnowe pudło i przenieśli po kamienistym podwórzu do pobliskiej szopy.

— Niech się tu trochę prześpi! — żartował Tom — a my chodźmy się napić! — Złożyli trumnę w rogu szopy i za chwilę Oliver został sam. Było trochę chłodno w wilgotnej szopie, i Oliver już nie odczuwał skwaru. Czuł tylko nudę...

Z gospody dochodziły tutaj wesołe spiewki, tupot nóg, i tony harmonii a Oliver dłużej się już nie namyślał. Dusza jego wymknęła się przez otwarte drzwi szopy na podwórze.

Była piękna jesienna stepowa noc. Księżyc wisiał wysoko na gwiaździstym niebie a w srebrnej poświacie rysowały się w dali ciemne kontury Sierra Nevada. Zza gospody, od szerokiego korralu dochodziło rżenie koni i Oliver począł prawie żałować, że umarł...

Stał długo, wpatrując się w jasne niebo, ale melodie, płynące z wnętrza gospody wabiły go wciąż, aż wreszcie dusza jego zawisnąwszy nad parapetem okna, poczęła się im przysłuchiwać i trwało to aż do północy...

W pewnej chwili przyszła mu nawet ochota sięgnąć do pasa po Colta, by celnym strzałem rozbić lampę wiszącą u sufitu izby i wywołać zamęt, ale szybko połapał się, że jest tylko duchem... Najlepszym przecież dowodem, że stanowi tylko przeźroczystą plazmę, było to, że go nikt nie dojrzał w oknie gospody...

Gdzieś po północy stary Johny, zapragnął wrócić do domu. Spod gospody do jego domu nie było zbyt daleko, jakieś trzysta yardów, ale że czuł się trochę słaby, zaszedł zaledwie kilkanaście kroków i spoczął w szopie za gospodą. Sen go nagle ogarnął i szukając sobie odpowiedniego miejsca, gdzieby mógł się położyć, natrafił na drewnianą skrzynię. Odsunął jej wieko, i nie wiele myśląc, wyrzucił z niej kogoś, a sam się położył jak długi i zasnął...

— — — — — — — — — —

Nazajutrz wczesnym rankiem poszedł Lean po pastora, a wszyscy mieszkańcy miasteczka zebrali się tłumnie przed gospodą — skąd miała się począć ostatnia droga Olivera Wiggina.

Tymczasem Tom Burley udał się do mrocznej trochę szopy, zabił wieko trumny gwoździami i w chwilę później poniesiono trumnę w żałobnym pochodzie w kierunku małego cmentarzyka.

Cmentarz zarośnięty karłowatymi sosenkami, był oddalony o jakieś 2 mile od miasta i niemało upłynęło czasu, nim kondukt pogrzebowy osiągnął jego bramy. W momencie kiedy mijano bramę cmentarza, stało się nagle coś nieoczekiwanego.

Z wnętrza trumny ozwał się nieludzki krzyk, później łomot. Wiozący trumnę w przerażeniu okropnym rzucili ją na ziemię. W nagłym upadku pękło wieko trumny, i zamiast spodziewanej bladej twarzy Olivera, ujrzano pokrwawionego i dziko patrzącego Johnnyego...

Nim zawrócono z powrotem, i nim odszukano pastora, który gdzieś po tym wypadku zniknął, minęło kilka dobrych godzin.

Ciało Olivera leżało tymczasem w szopie, a jego dusza przypatrywała się całej tej maskaradzie i z szyderstwem klęła do siebie siarczyście i brzydko...

Później kiedy naprawiono wieko trumny, zaniesiono ciało — ale tym razem już ciało Olivera — na cmentarz. Pastor zmówił ostatnie modlitwy i sosnową trumnę spuszczono na linach grobu... Za chwilę miano ją przysypać...

Oliver nie chciał jednak pozostać w ziemi, teraz za wszelką cenę nie chciał!...

— — — — — — — — — —

Słońce poranne złociło się nad stepem i w izbie było cicho i przytulnie.

Molly Swinton, której doktór kazał czuwać przy łóżku rannego, poczuła na sobie wzrok Olivera i uśmiechnęła się:

— No dzięki Bogu, już minęło przesilenie...

Popatrzyła w jego przytomne oczy, w których się w nich jeszcze dziwny przestrach i pomyślała:

— Tej nocy musiał źle śnić!...

Z. LISZKA.

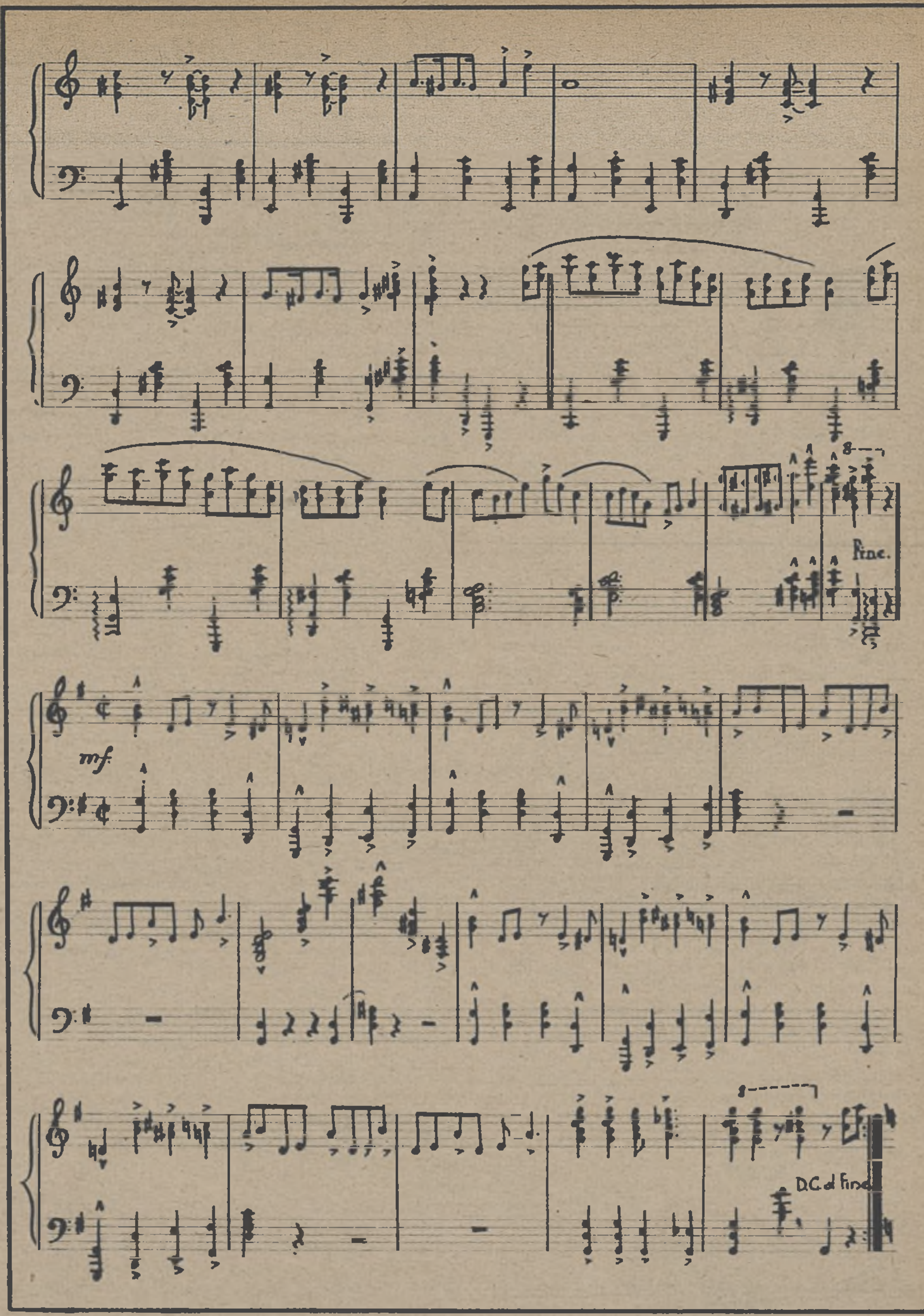


Pożeracz serc

Fokstrot - groteska

Muzyka: Jerzy Łabęga





ZE SCEN KRAKOWA I WARSZAWY

STARY TEATR — „GRUBE RYBY"

W pierwszej chwili zdawało mi się, że pomysł wystawienia na scenie, w dzisiejszych czasach, starej komedii mieszczańskiej, która już w kilkanaście lat po jej napisaniu i pierwszej premierze, jak zresztą i wszystkie sztuki Bałuckiego, nudziła publiczność swoim korowodem mieszczańskich typów, owianych szarzyzną życia, intelektualną pustką i ciasnotą pojęć, — jeśli w zupełności nie chybił celu, to przynajmniej był w wysokim stopniu ryzykownym.

Jeśli dodamy, że sama sztuka pod względem ideowym i literackim nie przedstawia większej wartości, a ponad to bez współdziałania dobrego aktora i widowni jest sztuką martwą, więc nic dziwnego, że z lekkim powątpiewaniem w powodzenie, udaliśmy się na premierę, która odbyła się dnia 4-go września b. r. w Starym Teatrze w Krakowie.

Okazało się jednak, że autor pomysłu wychodził z innych założeń, zresztą najzupełniej słusznych. Mianowicie, wziął pod uwagę psychikę teraźniejszej publiczności i grę aktorów, których zdolności sceniczne znał gruntownie.

Innymi słowy, z wnikliwością dobrego psychologa wyczuł upodobania i nastawienie „wojennej" publiczności i rozumiał, że humorystyczny obrazek z dawnych dobrych czasów — czasów beztroski i zacisza — każdego dzisiaj ubawi.

Młodzi serdecznie uśmieją się z banalnych kawałów swoich dziadków i przyznają w duchu, że niegdyś były lepsze czasy. Starzy natomiast, przeżyją miłe wspomnienia, które w perspektywie lat, wyraziściej przemówią swoją poezją, a być może wywołają nawet łezkę wzruszenia.

Wiedział także i o tym, że „Grube ryby" są sztuką martwą jedynie samą w sobie, której tekst jest tylko substratem dla aktorów i widowni, — jednak na scenie w blasku sztucznych świateł i interpretacji znakomitych aktorów, sztuka ta nabierze prawdy i rumieńców życia.

„Grube ryby" odniosły niezaprzeczony sukces. Publiczność natomiast zobaczyła na scenie w dobie dzisiejszej, stary, pełen poezji obrazek, któremu czas nic nie ujął, a raczej uświetniła go patyna kilkudziesięciu lat. Obrazek ten, oblany promieniem optymizmu i wolny od banalnej tendencji, nie tylko nic nie stracił na aktualności, lecz przeciwnie, stał się nawet bardziej interesującym.

Śmialiśmy się wszyscy chętnie, szczerze i głośno, nie przeszkadzało to nam wcale, że treść sztuki najbłahsza pod słońcem, a motyw stary jak świat, — konkury starych kawalerów, a przy tym rzekomych wrogów małżeństwa o rękę młodych panien.

Na tle tego motywu oglądamy intrygę nieskomplikowaną i łatwą do odgadnięcia, a operującą wyłącznie nieporozumieniem: Wanda myśli o młodym Wistowskim, którego stryj, zwiedziony i zachęcony pozorami, sam staje w roli starającego się. Helenka znowuż marzy o sukni jedwabnej, a niedomyślny Pagatowicz przypuszcza, że to jego osoba jest celem westchnień i zabiegów młodej panienki.

Autor ani na chwilę nie pozostawia widza w wątpliwości co do tego, jaki będzie przebieg wypadków i ich zakończenie. Przeciwnie, wszystko jest wiadome, tym większa zatem satysfakcja publiczności, która niecierpliwie wyczekuje kompromitacji postaci — z góry na ośmieszenie skazanych.

O sukcesie „Grubych ryb" zadecydowały tytułowe role — kapitalista Wistowski i radca sądowy Pagatowicz — ci dwaj dioskurzy starokawalerstwa — w mistrzowskiej interpretacji **Kazimierza Fabisiaka** i **Tadeusza Kondrata**. Kreacje tych artystów stały bodaj że na najwyższym poziomie kunsztu aktorskiego. Na nich skupiała się cała uwaga widza.

Alicja Matusiakówna w roli Wandy, **Zdenka Topolska** w roli Doroty i **Maria Stróżyńska** w roli Helenki, grały na scenie pełnią życia i prawdy.

Jerzy Rubczak w roli szłagona Burczyńskiego oraz **Krzysztof Rydel** jako Henryk, stylowy typ ówczesnego młodziana, byli żywymi postaciami w najdrobniejszych szczegółach wycyzelowanymi. Do powyższych dostroili się odpowiednio **Antoni Kosmyra** w roli Filipa i **Eugeniusz Załucki** jako Ciaputkiewicz. Reżyseria K. Fabisiaka bardzo dobra.

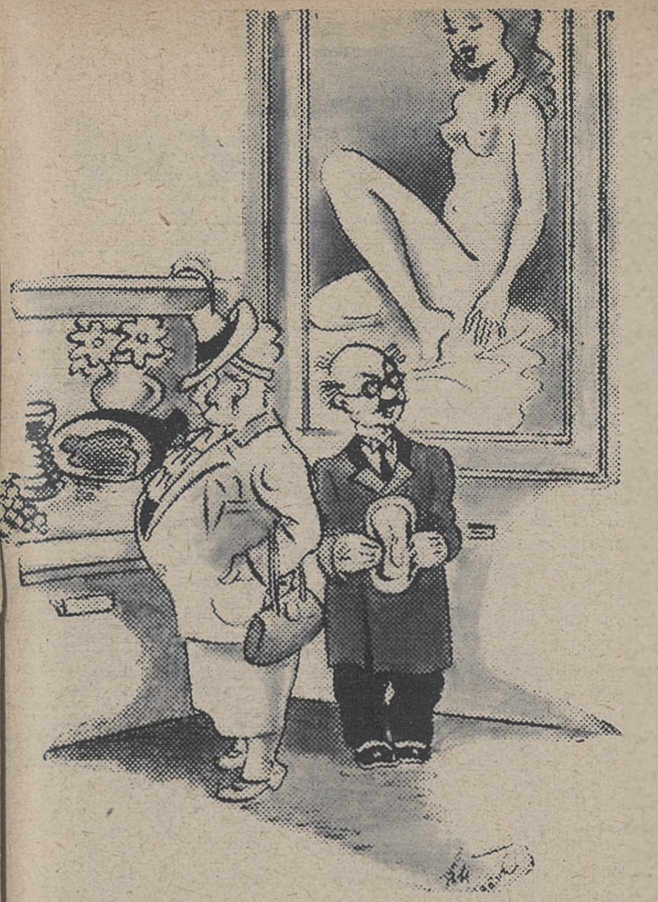
Paliwoda-Matiolański



Powyżej: Efektowna scena finałowa najnowszej rewii, warszawskiej „Komety" p. t. „Na falach młodości" w wykonaniu Polakówny, Jezierskiej, Kryniczanki, Jedyńskiej, Krukowskiego, Koziarskiego, Garbackiego i baletu Marciniaka. Fot. Z. Bakuła

Poniżej: Scena końcowa komedii M. Bałuckiego p. t. „Grube ryby" — Od lewej: Dorota (Z. Topolska), Burczyński (J. Rubczak), Ciaputkiewicz (E. Załucki), Filip (A. Kosmyra), Pagałowicz (T. Konrat), Wisłowski (K. Fabisiak), Wanda (A. Małusiakówna), Henryk (K. Rydel), Helena (M. Stróżyńska). Fot.: Borek





MECENAS SZTUKI

— Zapewne przypomina ci ten obraz wne dobre czasy Tadeuszu?

— Nawet bardzo, Zuziu!

(Die Grüne Post)

Turysta zwiedzający ruiny starego mku: — W tych murach zapewne okutują duchy tych, którzy nie mogą znać spokoju na tamtym świecie!

Przewodnik: — Tak, proszę pana, duy turystów, którzy zwiedzali ten zaek i nie dali przewodnikowi napiwku.



POPROSZĘ O ZDJĘCIE...

Wylazłem na jabłonkę, ale gałąź trzasła...
Zawisłem jak na kołku. Krzyczę, wołam, kasłam...
Gałąź notuje ruchy jak czuły sejsmograf —
Na całe szczęście nadszedł miejscowy fotograf.
Wymachuję rękami, rzucam się zawzięcie
I wołam zrozpaczony: Poproszę o zdjęcie!".
Fotograf flegmatycznie rozpiął futeralik,
Wziął aparat, „pstryk" zrobił i drań poszedł dalej...

*

TRAFNA ORIENTACJA W SYTUACJI I DOBRE POCIESZENIE

— Nie smuć się Mary, ja wrócę! Bill także wyjechał wczoraj o 6-tej rano, a o 12 w południe był już z powrotem, ponieważ parowiec jego zatopiono...

(Atlantic)

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

— Czy posłuchała pani mojej rady wczorajszej i wywiesiła obrus z plamami od owoców na płot, na działanie wiatru i słońca?

— Posłuchałam i...

— I co? Plamy znikły — nieprawdaż?

— O tak znikły, ale razem z obrusem.

*

— Pańskie cierpienie żołądkowe nie jest poważne, niech pan tylko pamięta o tym, ażeby codzień rano na czczo wypić szklankę ciepłej wody.

— Ja już to robię, panie doktorze od dawna — moja gospodyni nazywa to co prawda kawą...

*

Poeta: — Małżeństwo jest spokojną przystanią gdzie się spotykają dwa okręty.

Mąż: — spotkałem się widocznie z okrętem wojennym.

*

— A więc Józek pocałował cię? Czy wzywałaś pomocy?

— Nie, on jej nie potrzebował.

*

— Pan ma obrączkę na palcu — czy pan jest żonaty?

— Naturalnie! Cóż pani myśli że noszę ją dla przyjemności!?

*

— Czy to prawda, że nazwał mnie pan idiotą?

— Owszem tak myślę, ale tego nie powiedziałem głośno.

*

Mała Irka była po raz pierwszy w szkole.

— No cóż Iruś — pyta jej mama po powrocie — czegoś się nauczyła?

— Bardzo mało, mamusiu — jutro muszę tam pójść znowu...

*

— Co właściwie zrobił doktór, żeś tak prędko wrócił do zdrowia?

— Powiedział, że za każdą wizytę będzie sobie liczył 50 złotych.

*

— Życie ludzkie jest piękne, ale śmierć też niczego! — pomyślał właściciel zakładu pogrzebowego, inkasując pieniądze.

*

— Czy Staszek ma poważne zamiary względem ciebie?

— Mam wrażenie, że on się jednak ze mną ożeni. Wczoraj oświadczył mi że w tanich sukienkach najbardziej mi do twarzy.



„Karol znowu zostawił kostium sportowy w domu".

(Reichssportblatt)

*

— No, jak ci się powodzi na nowej posadzie?

— Z początku zdawało mi się że będę się dobrze czuła w biurze, ale teraz okazało się, że mój szef naprawdę zwraca uwagę jedynie na dyktowanie mi listów.

*

— Czy świadek ma jakiś dowód tożsamości?

— Tak panie sędzio! Pieprzyk na lewym biodrze.

*

— Ja również mam w domu kilka wspaniałych obrazów.

— Z jakiego czasu?

— Z czasu gdy jeszcze miałem dużo pieniędzy.

*

— Wie pan, że ja nie lubię, gdy ktoś stale będący koło mnie zawiele mówi...

— Chętnie panu wierzę — ja też jestem żonaty.

*

— Czy słyszałaś, że Zosia zerwała swoje zaręczyny z tym młodym lekarzem?

— Tak, a on jej posłał rachunek za 67 wizyt.

*

W wielkim więzieniu karnym któremuś z więźniów kryminalnych coś zginęło. Więzień prosi o rozmowę z dyrektorem więzienia, do którego zaczyna skargę w następujący sposób:

— Panie dyrektorze, musi pan wiedzieć, że ma pan tu złodzieja w więzieniu...

*

— Wiesz potrzebuję na gwałt pięćdziesiąt złotych, żebyś mnie zabił nie wiem, skąd je wyrwać...

— No, to uspokoiłeś mnie, myślałem już, że ty mnie właśnie chcesz na nie naciągnąć.

*

Mały Fredzio był z matką po raz pierwszy w życiu na koncercie.

— Wiesz, mamusiu — powiedzia malec, wskazując palcem na muzyka — ten pan musi być bardzo biedny!...

— Dlaczego tak sądzisz?

— Bo nie ma radia i musi sam grać!

*

— Moja żona ma straszną pamięć!

— Wszystko zapomina?

— Przeciwnie, wszystko pamięta.

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY Nr. 16 (47)

A. DZIAŁ ZADAŃ

3-chodówka Nr. 16 (47).

H. Tschirschwitz (»Wiener Schztg« 1936).

Czarne Kg4, Ha6, Gb8 b5, piony: c6, d6, h3, h4. (8).

Białe: Kh6, Wf8, Ga4, Sd2 f4, pion: h2. (6).

3-chodówka. 6+8 = 14.

Mat w 3 posunięciach.

A. Troicki (Nr. 474 zbioru: 500 Endspiele)

Czarne: Kh8, Se7 g4, pion: h5. (4).

Białe: Kg5, Sc3 d2, pion: a3. (4). Końcówka (=)4+4=8.

Białe zaczynają i remisują.

Rozwiązanie 3-chodówki Nr. 15 (46) (Weenink): 1. d4! e3† 2. d5† W—e4† 3. d6×.

Rozwiązanie końcówki Nr 15 (46) (Kubbel): 1. G×g4† H×g4 (A) 2. f3 H×g3 (B) 3. S—f7 H—h2 (C, D, E, F) 4. g4† K—h4 5. S—f5† K—h3 6. S—g5 ×.

(A) 1... K×g4 2. f3 K×g3 3. S—f5†, 2... K—h5 3. g4†.
1... K—g5 lub —h6 2. S—e6† lub —f5†.
(B) 2... H—d4, —g5, —g7 3. g4† itd.
(C) 3... H—f4 4. g4† i 5. S—g6†.
(D) 3... H—g7 4. g4† i 5. S—f5†.
(E) 3... H—h4 4. g4 ×.
(F) 3... K—h4 4. S—f5†.

PARTIA Nr. 86 (88)

Białe: Matzerath — Czarne: Brinckmann

grana korespondencyjnie w latach 1935-6.

Hiszpańska

1.	e4	e5	10.	S×e5	S—f4
2.	S—f3	S—c6	11.	H—e4	S×e5(2)
3.	G—b5	a6	12.	H×a8	H—d3(3)
4.	G—a4	S—f6	13.	Wf—e1	S—e2†
5.	H—e2	b5	14.	K—h1	G—h3
6.	G—b3	G—e7	15.	H—d5	S—g4!
7.	c3	0—0	16.	g×h3(4)	S×f2†
8.	0—0	d5(1)	17.	K—g2	S—f4†
9.	e×d5	S×d5	18.	K×f2	G—h4†

Białe poddały się.

UWAGI:

(1) To zaofiarowanie piona ma dawać czarnym swobodną grę figur.

(2) Trzeba przyznać, że w razie 12. H—f4 lub H—e5 czarne otrzymałyby po G×d6 b. silny atak.

Białe miały jednak do dyspozycji ruch 12. d4!, który prowadzi do odzyskania figury przy dobrym rozwoju i kto wie, czy nie stanowi obalenia ofiary piona czarnych.

Bicie wieży ze strony białych przy tak nierozwiniętej pozycji jest błędem decydującym.

(3) To jedno posunięcie ubezwładni zupełnie białe. Jeśli np. 13. H—a7 to G—h3 14. g×h3 S—f3 po czym mat.

(4) 16. H×d3 S×f2!.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



ORZEŹWIAJĄCA KĄPIEL

Ciekawy i charakterystyczny obrazek ze wsi. Dla uzyskania odpowiedniej odległości, a tym samym większego efektu, wykonawca p. Mieczysław Pieprzyk z Krakowa wchodził z aparatem do wody. Dzięki temu zdjęcie zyskało na wartości i znalazło się w naszym Kąciku Fotoamatorskim.

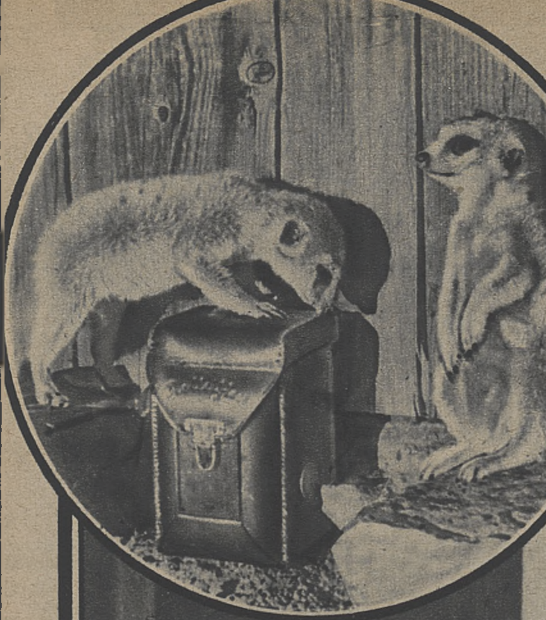
UWAGA! FOTOAMATORZY!



SIELANKA RODZINNA W NIEDZIELNE POPOŁUDNIE

Przy pewnej dozie inteligencji i umiejętności patrzenia, można z tematów prostych i codziennych podchwycić wiele ciekawych momentów, które utrwalone na zdjęciu potrafią przemówić do nas swoją piękną treścią. Dla przykładu reprodukujemy powyższe, pod każdym względem dobre zdjęcie, wykonane przez p. Stanisławę Jędrzejowskiego z Krakowa.

„RODZINKA" ŚWISTAKÓW



Na lewo:
ACH, JAKA KOMICZNA SKRZYNECZKA!
Para świstaków dostrzegła leżący na trawie aparat fotograficzny, który wzbudził jej wielkie zainteresowanie. „Pan" świstak obwąchuje go ostrożnie ze wszystkich stron.

Fot. Ilse Steinhoff



W kole:
ŚWISTAKI STOJĄ NA WARCIE
Aparat fotograficzny najwidoczniej spodobał się świstakom, gdyż stanęły, po obejrzeniu go, obok i stały z pół godziny przy nim bez ruchu wyprostowane jak żołnierze na warcie.



WSZYSTKO DOBRE, CO SIĘ DOBRZE KOŃCZY
Urszula, złotowłosa córka właściciela folwarku widziała ich tragedię i przyniosła małym wartownikom kilka smacznych kęsków.

Gdy wiosna zawita w góry i pierwsze wonne kwiaty pokryją łąki — wtedy i świat zwierzęcy budzi się do życia, po długim śnie zimowym. W wysokich górach Alpach czy Tatrach wśród turni skalistych i hal, rozlega się radosne, przenikliwe gwizdanie. To świstaki — ci mili gór wysokich mieszkańcy porozumiewają się ze sobą. Świst ten komunikuje braci świstaczej o smacznej kępce trawy, o przygodzie w zabawie lub jest sygnałem świstaka-strażnika o grożącym niebezpieczeństwie. Zawsze bowiem te przezorne i miłe stworzonka nawet w czasie zabawy — wystawiają straże w postaci kilku stojących „słupka" samczyków. Bo świstak spokojny i lękliwy gryzoń ma wrogów bez liku. To jastrząb lub orzeł drapieżny, to chytry lis — to wreszcie człowiek — wszyscy czyhają na tego „góralczyka". Po takim sygnale wszystkie stworzonka zmykają co tchu do nory.

Dziwne to życie świstaków, którego większość przesypiają w swych zimowych norach. Zaledwie kilka miesięcy letnich cieszą się świstaki ciepłymi promieniami słońca i kryształowym powietrzem górskim. Z pierwszym srogim podmuchem zimy — świstak wykopuje sobie długą podziemną norę zakończoną obszerną jamką. Jamę tę wyściela sobie wygodnie miękkim mchem i delikatnymi trawkami. W tej sypialni spędza nasz „góralczyk" 7—8 miesięcy w odrętwieniu, śniąc swój sen zimowy. Wichry, mrozy i ciężkie śniegi, a z tym tragiczne życie zimowe innych czworonogów górskich nie wzruszają zupełnie naszych śpiących świstaków. Być może że śnią one wtedy o swym rajskim prabycie gdzie żyły swobodnie i bez trwogi, — a może, — może w ich snach zimowych świeci letnie gorące słońce — kto wie?

Świstaki dadzą się łatwo oswoić i wyuczyć różnych sztuczek. Podajemy kilka miłych obrazków z życia tych oswojonych gryzoni.



ZA PÓŹNO
Zajęte aparatem zapomniały świstaki o swym obiedzie. Gdy sobie o nim przypomniały, było już za późno, obiad ich znikł. „Pan" borsuk i „pani" kotka oblizują się już po nim ze smakiem, a świstakom nie pozostaje nic innego, jak stanąć znów „słupka" koło pustej miseczki.